

## Cicho i głośno

**T**o wszystko minęło. Dzisiaj w starej części Chinguetti spod poduch piachu sterczą szczyty uduszonych domów. Rankiem w ich labiryncie chłopcy bawią się w chowanego. Jest cicho. Piasek tłumi kroki, a podnoszenie głosu, jak pośpiech, to oznaka prostactwa. Pod wieczór, kiedy dogasa pożar słońca, przychodzą kobiety – posiedzą, zaparzą na paru węglach herbatę, popatrzą na dawny dom, gdzie pustynia przesypuje się przez okna, ziarno po ziarnku, jak w klepsydrze. Wiatry wieją tu stale, z północy, i z tym wiatrem wydmy weszły do miasta. Są ludzie, którzy budują nowe domy na dachach zasypianych budynków. Ale nie minie pewnie wiele lat, zakryje je także.

Oto spostrzeżenia i język, jakim napisała swą piękną książkę Olga Stanisławska – *RONDO DE GAULLE'A*, Wydawnictwo Książkowe „Twój Styl”, Warszawa 2002, s. 10. Opis dotyczy Mauretanii, kraju omijanego przez turystów, ale również przez reporterów, badaczy i in. Od tego niewdzięcznego miejsca rozpoczyna autorka swoją podróż samotną przez kontynent. Dodajmy, nie jest to jej pierwsza obecność w Afryce. Zaczęłam swój szkic od opisu scenki z Chinguetti, albowiem z podobnych lapidarnych, zarazem niezwykle spostrzegawczych, nieraz wprost odkrywczych ujęć zbudowana jest opowieść mająca 206 stron. Bliższych wiadomości o autorce nie próbowałam zgromadzić, czytając np. recenzje z jej książki w najpoważniejszych pismach, jak „Tygodnik Powszechny”, czy też inną drogą, chociażby prośbą o spotkanie i rozmowę. W pełni wystarczyło mi, to co sama dyskretnie napisała o sobie w

*Rondzie...*:

Co potem? Pokój w tanim hotelu(...). Nikt oprócz mnie nie wie, gdzie jestem. Jestem w Ghanie. Tym, którzy potrafią zbudować dom z nocy i samotności, podobno nic więcej nie może się przytrafić. Samotność ma najpierw twarz, czyjąś twarz, czyjeś ramię. Potem już nie. W końcu przeradza się w rodzaj spokoju. Nie żałuję tych wieczorów na osławianiu samotności (s. 126).

W jakiejś miejscinie, nie pamiętam jakiej, pisze, że lubi iść „ze wzrokiem wbitym w ziemię”, wpatrując się w mijane przedmioty na zaśmiecanej drodze...

Idę więc po południu brzegiem chodnika przy Avenue d'Indépendance i nie potrzebuję już wiedzieć, jak długo tu zostanę i co będzie dalej, jakby czas nie był już rzeką, płyną

ną do ujścia, tylko oceanem. Patrząc na Bamako chciwie, żarłocznie i nie mogę dość nakarmić oczu tym miastem, tonącym w zieleni ogromnych drzew, spowitym czerwonym pyłem laterytowej ziemi. Nasycić się spojrzeniami ludzi. Okrutną i upajającą obietnicą niezaspokojenia (s. 80).

Nasza bohaterka opanowała swobodnie – niby nic – najtrudniejszą w jej pracy metodę zdobywania najskrytszych wiadomości. Oto jedna z dosyć wielu, wykorzystywana w zależności od samopoczucia, nastroju czy – oczywiście – założonego sobie celu:

Wieczorami w Mao przesiaduję zwykle na ławce przed komisariatem. Jak majak bez jednego dźwięku, przesuwają się cienie. Światło chińskiej latarki omiata kopyta bezgłośnie dotykające piachu, buklaki na grzbietach wielbłądów, twarze jeźdźców zakryte zawojem. – Złożę się, że mają kałasznikowy przy siodłach – wzdycha komisarz i gasi latarkę.

– Że też oni tu zawsze muszą podróżować nocą. Noc kładzie do snu rolnika. (Początek Podróży przez fikcję zwaną Czadem, s. 91).

## Raczej głośno

Po znalezieniu się w głębi kontynentu cisza, o której było na początku, zanika. Pojawi się w jakiejś mierze może dopiero w Togo, i nie wiatry, i nie piasek, lecz majestat Atlantyku uśmierzy nasze skłonności. Nawet w tropikalnych lasach, wśród Pigmejów, dominują zachowania dosyć głośne, tłumione tylko w czasie łowów, wypatrywania jadalnych roślin czy w ogóle przemierzania leśnej przestrzeni. Natomiast u siebie, w obozowisku, pomijając dudnienie wieczorne bębnow, śpiewy, oracje, głośne wyrażanie aprobaty lub dezaprobaty – w czasie tych powtarzających się nieraz codziennie zgromadzeń obozującej grupy – w środku dnia zobaczyć możesz pękającego ze śmiechu mężczyznę, który aby opanować swój głośny stan radości... kładzie się na ziemi i ściska brzuch rękami. To nie pomaga i dalej zaśmiewa się do rozpuku.

Nie byłoby bluesa, gospels, w ogóle współczesnego radowania się jazzem, gdyby nie aprobata wśród czarnych u siebie w Afryce i w USA, spontanicznego, bardzo szybkiego, skrótowego, zawsze głośnego komunikowania się w byle sprawach i odpowiednio wzmacnianych owych zachowań w czasie swych rozmaitych obrzędów, uroczystości, nawet pogrzebowych... Łkania wśród Bamileke, kobiet z dalszej nawet rodziny zmarłej niespodziewanie dziewczeczki nie zapomnę do końca życia. W czasie tym żegnano jakiegoś notabla i jego pogrzebowi nie towarzyszyły łkania, tylko którąś już z rzędu noc smętne dudnienie bębnow, na tyle głośne, aby słyszeli je nawet odlegli, nieprzyjaźni sąsiedzi.

Charakterystyczne jest, że w strefie Afryki głośnej, gdzie żyją potężne zwierzęta, wydające najrozmaitsze donośne dźwięki, nie postrzegłem, aby stanowiły one